

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

17)

To ostatnie beczenie zwrócone było do Siergieja wraz z wywieszeniem języka w całej jego długości, poczem Ferdzio skoczył do małego stoliczka przy łóżku matki, wyciągnął z niego szufladkę, schwycił teraz garść drobnych pieniędzy, z których część z głośnym brzękiem rozsypał po podłodze i biegnąc ku drzwiom koło asesora koleżskiego, jeszcze raz pokazał mu język i zabeczał jak baran:

— Meeee!

Siergiej Bolesławowicz oburzony tem do najwyższego stopnia, zerwał się na równe nogi krzycząc gniewnie:

— A malczyszka, mazurik!

I chciał biedz za rozlampartowanym chłopakiem zapewne w zamiarze doraźnego ukarania, ale niestety zapomniał o swych niefortunnych spodenkach, które niepowstrzymywane rękami, nakoniec zadość uczyniły prawu powszechnego ciężenia i opadły na ziemię, ukazując oczom, a raczej jednemu oku pani Zenobii, takie wdzięki, jakie się zwykle starannie ukrywa.

Pani Zenobia, udając zawstydzoną, zakryła ręką jedyne oko i krzyknęła głosem oburzonej niewinności: ah! a zaraz potem groźnie rzekła:

— Zakryjże pan do pierona!

Z trudnością to wykonał Siergiej, z czego korzystając Ferdzio wymknął się z pokoju, śmiejąc się głośno i krzycząc:

— Nagus! nagus!

Pani Zenobia poczęła teraz surowe czynić wymówki swemu przyszłemu, że nazwał jej Ferdzia-sierotkę „mazurkiem“, a co gorsza, chciał go bić.

— Da, jakże madam, bronił się Siergiej — on mnie język pokazał i beczał jak baran.

— To cóż? to jest dziecko, zwyczajnie chłopiec swawolny i zapowiadam acanu, że jak jeszcze raz palcem ruszysz na me dzieciętecko z naszego małżeństwa kwita.

Musiał znowu uroczystie przysięgnąć biedny koleżski asesor, że zastosuje się do woli swej przyszłej małżonki, czem udobruchana pani Zenobia podniosła kwestię smutnego stanu „niewypowiedzialności“ Siergiejowych.

— Czy pan nie masz drugich spodni? — pytała.

— Ja miał, ale czort wie, kędy się zapodziały. Ale pan Stanisław obiecał mi kupić nowe.

— Pan Stanisław! akurat... czekaj tatka latka, a tu z pana opada wszystko i wstyd jeno porządnym kobietom pan sprawiasz. Nie możesz sobie pan kupić sam, nie czekać na pana Stanisława.

— Ja by mog, madam, no u mnie dzieńgi niema. Szabas w kieszeni.

Pani Zenobia pomyślała chwilę, poczem sięgnęła do stoliczka mówiąc:

— No! — niech stracę. Masz pan tu pięć fajgli i idź jutro rano do miasteczka i kup se na żydkach nowe spodenki.

Siergiej ucałował kosmatą łapę swej piękności i uszczęśliwiony z tryumfu, jaki odniósł, po krótkiej jeszcze rozmowie, opuścił nakoniec pokój swej narzeczonej.

XXIV.

Nazajutrz jeszcze Stanisław leżał w łóżku, gdy do niego przyszedł Antek Wiśniewski, namawiając go, aby z nim jechał do miasteczka X. gdzie ma się odbyć ogromny wiec i gdzie ma być proklamowana Rzeczpospolita. Ale Stanisław odmówił.

— Najprzód — tłumaczył się — jestem przeciwny rządowi sfer mało-inteligentnych, rządowi pewnej klasy ludzi, do tego nieprzygotowanej — potem nie wierzę w trwałość tej roboty. Rząd na chwilę może być oszołomiony przez wypadki, które go nagle zaskoczyły, ale w końcu przyjdzie do siebie i wszelki ruch siłą zdusi. Zresztą, co mnie obchodzi wasze walki, sprawy, nadzieje, złudzenia? Wszystko to już było, wszystko minęło i wszystko kończy się nicością. Daj mi pokój!

A Wiśniewski skrzywił się chorobliwie, co, jak wiadomo, miało oznaczać uśmiech i rzekł:

— Taj, oczywiście dam ci pokój, tylko ci po-

wiem, że w czasach takich, jak obecnie, nie jest wcale bezpiecznym i zdrowym, usuwać się od wszystkiego.

— Ba! — i cóż mi zrobią? Zabiją mnie? — wszak wcześniej czy później umrzeć trzeba. Śmierć na mnie tak samo, jak na innych czeka.

— Wiesz co? ten twój pesymizm i zgorzknienie i dziwna obawa śmierci, wygląda mi na rezultat wczesnego przeżycia się. Gdybyś tak jak ja od dzieciństwa walczył z nędzą, nie wiedział nieraz gdzie masz głowę na noc złożyć i co jutro do ust włożyć, nie myślałbyś o śmierci. Tyś wychowany jak panicz, nie zaznałeś nędzy i wreszcie wypileś kielich życia do dna, do szczętu. Stąd twój pesymizm...

— Tak myślisz?

— Tak, a i to dodam, że całą wartością życia, całym jego interesem i urokiem, jest właśnie walka. Gdyby jej nie było, nie byłoby warto żyć. Ale co ja ci to wszystko gadam. Szkoda na dysputy akademickie czasu i atlasu. Bądź zdrow, a tak się zegnają nie wrogi, ale dwa stojące na swych słońcach bogi. Czekają mnie tam.

— Czy i panna Aniela jedzie?

— Naturalnie, że jedzie. To dzielna dziewczyna, to kobieta przyszłości, żona nowego słońca.

— Jakoś zbyt poetycznie o niej się wyrażasz?

— Bo zasługuje na to. Bądź zdrow.

— Antku, strzeż się Jasińskiego.

— Głupstwo wierutne. Zawrócił wam głowę ten duren z Petersburga i wy mu wierzycie. No! do widzenia. Jak wrócę, wszystko ci opowiem, jak i co było.

I pojechał.

W miasteczku, na tak zwanym rynku, na którym zwykle nierogaczyna swobodnie się przechadzała używając rozkoszy w wiecznych i zawsze cuchnących kałużach, lub żydki, rozstawiwszy swym Ryfkom i Chajom kioski około handlow i kramów, stawiali w kupkach zastanawiając się nad tem, czy temu lub owemu „gojowi“ można pożyczyć pieniędzy, wrzół teraz ruch nadzwyczajny. Napelniały go tłumy robotników, żydzi i osobistości, które Bog wie skąd się tu wzięły i o których nikt nie potrafiłby nic powiedzieć, młodych kobiet w nędznych, zniszczonych okrągłych kapelusikach słomkowych na głowach krótko ostrzyżonych, ubranych w czarne, wytarte sukieneczki i w buciki wykrzywione i ubłocone. Nad tym tłumem ruchliwym i wrzaskliwym unosiła się chmura kurzu, wzbitego nogami setek osób, zaduch ciał spoconych i brudnych, błyszczało czyste jak iza niebo lipcowe i jasne słońce. Wszyscy czegoś oczekiwali, co chwila wychylały się głowy rozglądając się dokoła, kręciły się owe młode kobiety z włosami ostrzyżonymi, przebiegali nieznani ludzie, szepcząc temu i owemu coś do ucha, rzucając półgłosem jakieś hasła i znaki.

Nakoniec na wzniesieniu, urządzonem z dwóch pustych beczek i deski na nich położonej, ukazała się kędzierzawa głowa Michaiła Srułowicza Mojsiejewa, Litwaka, który niedawno przybył do X. trudnił się podobno lichwą i pogardliwie wyrażał się o swych współwyznawcach miejscowych, których stale nazywał „durakami“.

Michaił Srułowicz Mojsiejew wszedł na ową improwizowaną estradę, kapelusz pchnął na tył głowy, spocone czoło obcierał chustką z wyobrażeniem diabełskiego Soboru w Petersburgu i począł mówić po rosyjsku, ze szkaradnym akcentem, wymawiając gardłowo r, „istinnij ruskij patryot“ jak sam się zwykł był nazywać.

Rozpoczął od tego, że czas już skończyć z rządami „szlachty i ksiendzów“, czas „burżujów polskich“ wyrzucić z tego kraju, który wcale nie jest Polską, ale odwieczną dzielnicą żydowską, że naród polski wprawdzie kiedyś tu mieszkał, ale teraz jest to naród wymierający, że ta ziemia winna należeć do klasy robotniczej, do proletariatu i żydów, którzy wszyscy są ludźmi postępowymi i utworzyć zamierzają z tego kraju istny raj; że trzeba dać przykład, skorzystać z chwili rozstroju, jaki panuje w sferach rządowych i ogłosić republikę socjalną.

Nie wszystko to podobało się robotnikom. Marcin Jabłoński, znany nam przyjaciel Stanisława, począł protestować głośno przeciw temu, jakoby ten kraj miał należeć do żydów, ale tłum nieznanymi osobistościami zakrzyczał go, a Michaił Srułowicz Mojsiejew mówił dalej, jaka to będzie ta socjalna republika, która ma powstać w X. Obiecywał złote góry, twierdził, że wyzysku w niej nie będzie, nie będzie kapitalistów, ani nędzy, wszyscy opływać będą w dostatki bo nastąpi podział dóbr.

Nie wszyscy go rozumieli, bo nie wszyscy władali językiem rosyjskim, mocno zresztą skażonym w ustach „istinnego ruskiego patryoty“, ale ostatecznie to iowo pojmowali. Michaił Srułowicz wpadł w zapał, rzucał się jak opętany na estradzie, która

pod nim trzeszczała, grożąc zawaleniem się, zapowiadał wypędzenie księży, zniesienie religii, wolną i niczem nie krępowaną miłość między kobietą i mężczyzną. Wzywał w końcu do wybrania komisji, która by się zajęła urządzeniem i proklamowaniem republiki, twierdził, że dość jest broni, by przeciw zamachom na całość tej przyszłej republiki niepokonany stawiać opór.

Tuż obok estrady stał Adam Jasiński, Antek Wiśniewski, Aniela i gromadka owych krótko ostrzyżonych, nędznych i zaniedbanych młodych kobiet, które każdą zapowiedź Michaiła Srułowicza, o rozkoszach i szczęśliwości, jaka czeka przyszłych republikanów, żywymi przyjmowali oklaskami i okrzykami. Trzeba nieszczęścia, że w chwili, gdy Srułowicz tłumaczył co to jest wolna miłość i że dzieci, zrodzone z takiego pojęcia na wiarę, przyjmie republika na wychowanie, na rynku zjawił się koleżski asesor Siergiej Bolesławowicz Kozłowski.

Po wczorajszym sutem uraczeniu się przy obiedzie „oczyszczoną“ i marzeniach, jakich doznał przy swych oświadczeniach dozgonnej miłości nadobnej jednookiej Zenobii Kapuścińskiej, zasnął on nieco i dość późno zerwawszy się z łóżka, przypomniał sobie konieczność nabycia jaknajprędzszego nowych „niewypowiedzialności“, gdyż stare przy zbyt ryzykownych wysiłkach miłosnych dnia wczorajszego, stanowczo służby odmówiły. Wszak miał pięć „feiglic“, danych mu łaskawie przez panią Zenobią, rzecz więc była wykonalna. Po niejakim namyśle, załatwwszy jak mógł stare spodnie, tak, by się jako tako trzymały na grzesznym cielsku Siergieja, postanowił on nie tracić czasu, wybrać się do X. i dążyć do niego bocznymi drogami, przez pola, w obawie spotkania kogokolwiek, który mógłby słusznie roześmiać się na widok skandalicznej ruiny starych „ineksprimablów“. Na swoje nieszczęście, Siergiej, zajęty wczoraj miłosnymi afektami ku komasnej łapce pani Zenobii, nie wiedział wcale o majacie nastąpić w X. zgromadzeniu i ogłoszeniu rzeczypospolitej. Szedł więc śmiało, rachując, ile go spodnie „na żydach“ kosztować mogą, licząc, że z pięciu rubli coś przecie zostanie i za tę resztę w handelku Szłomy Geldmachera będzie mógł biffszyk sobie sprawić, w którym oczywiście narodowa „oczyszczona“, główną rolę odegrać miała. W drodze przez pola żółciejące dojrzewającym zbożem, nie spotkał nikogo i przez to nie naraził swej godności koleżskiego asesora na pośmiewisko i okrażając miasteczko wszedł na boczną, mało uczęszczaną uliczkę, którą chciał dostać się na rynek. Na rynku bowiem mieścił się skład starych ubrań i wszelkiego rodzaju rupieci, należący do Icka Szatensteina, znanego mu nieco, bo już u niego przehandlował starą „szepiel“ urzędniczą, zgola niepotrzebną w Prywislinii, która w buntowniczym swem usposobieniu śmie mieć cieplejsze słońce od metropolii, a w lipcu w kaloszach nie chodzi.

W uliczkę ujrzał kilku żydków, biegnących ku rynkowi, ale że szli przed nim, więc nie mogli widzieć odwrotnej strony nadobnej postaci Siergieja, a zatem nie mogli oglądać tej ruiny „sztanów“ niegdyś w Pitrze swą pięknnością taką sensację czyniących.

— W Pitrze po Newskim, ja się w tych sztanych przechadzałem — myślał sobie Siergiej — a tu w tej przekłętą Prywislinię jak złodziej ukrywać się muszę. Ot co zrobili pany i ksiendzy.

Trudno zaprawdę odgadnąć co za związek był między „polskimi panami i ksiendzami“ a spodniami Siergieja, ale w tym umyśle zamroczonym jeszcze w używaniu wczorajszego uraczenia się „oczyszczoną“ wszystko się dało pogodzić. Tak rozmyślając dostał się Siergiej na rynek i zdumiony widokiem tłumów i rozprawiającego Litwaka, Michaiła Srułowicza, przystanął.

— Czort zna co to takiego! mruknął do siebie:

Stał i patrzył, wsłuchiwał się przez chwilę w mowę Michaiła Srułowicza, ale nie wiele z niej rozumiał, zresztą zajęty sprawą swych „sztanów“ machnął rękę mrużąc:

— Ot miateż, miateżińce Prywislinie!

I począł się przesuwając wzdłuż domów, przy których stały żydówki i mieszczyki i komunikując sobie nawzajem swe spostrzeżenia, przypatrywały się niezwykłej scenie odgrywanej się przed ich oczami, nie biorąc w niej zresztą żadnego udziału. Miały zresztą dosyć zajęcia z bachorami i „dzieckami“, które otaczały ich tłumnie, czepiały się ich spodnic, i korzystając z nieuwagi matek, za łby się po piasku wodziły.

Siergiejowi Bolesławowiczowi wszystko się to nadzwyczajnie nie podobało, choćby z tego względu, że nie mógł już niewidzialny przemknąć się do kramu Icka Szatensteina i widokiem zrujnowanych haniebnie niewypowiedzialności, narazić na śmieszność